

Emerytowana nauczycielka. Urodziła się w 1915 roku we Lwowie / ZSRR /. Przybyła w 1945 roku do Prudnika /woj. opolskie/, gdzie mieszka do chwili obecnej. Ojciec jej był tramwajarzem. Ukończyła studia pedagogiczne za zakresu pedagogiki specjalnej. Mężatka / dwoje dzieci /. Bezpartyjna. Nr ewid. pamiętnika 692.

"Kładliśmy fundament pod współczesne życie"

Do Prudnika przyjechaliśmy z mężem i córką w czerwcu 1945 r. Córka miała wtedy 5 lat, ja 30, mąż 33. W Katowicach otrzymałam skierowanie do pracy. Mieszkań w tym okresie było tu dużo. Do przyjazdu i osiedlenia się właśnie tutaj skłoniły nas dwie przyczyny. Nowe tereny w podgórskiej okolicy i chęć oderwania się od dużego miasta z którym kojarzyły się przeżycia wojenne. Pierwsze wrażenie po przyjeździe było bardzo pozytywne. Dużo zieleni, dobry stan dróg i spokój. Miałam dużo zapału, zdrowe ręce i pełną głowę planów. Ludzi początkowo było tu mało, ale każdego dnia transporty kolejowe przywoziły tu rzesze naszych rodaków. Zaraz po przyjeździe trudno było zdecydować się jakiej pracy się podjąć, w kieszeni mam skierowanie, ale równocześnie na miejscu tyle kuszących propozycji, że postanowić coś niełatwo. Zarejestrowaliśmy się w P.U.Rze, urządziliśmy się no i decyzja zapadła - idę do pracy w szkole. Szkoła w której rozpocząłam pracę była jedną z dwu czynnych na terenie miasta, duża, piękna, nowoczesna. Przed oczyma rodzi się wspomnienie szkoły w której pracowałam od 1935 r. jako bezpłatna praktykantka, w miejscowości Hujcze p. Rawa Ruska. Drewniany budynek z szczelinami po wypadłych sękach zatkanych gazetą. Na te miejsca przypinałam obrazki robione ręcznie na białym pakunkowym papierze. Dżwię wspomnienia, które jednak wracają jak uparta mucha.

Aby rozpocząć normalną pracę dzieci jeszcze zbyt mało.

Pierwsze nasze władze zlecają nauczycielom przeprowadzić spis ludności w pleście. Każdy z nas, a było nas już kilkoro otrzymuje określony rejon, gdzie przeprowadzamy spis. Chodzenie po domach pozwala poznać się z terenem, i najbliższym otoczeniem. Praca, która początkowo wydawała się trudna sprawiała mi przyjemność. Ludzie miejscowego pochodzenia, którzy początkowo przyjmowali nas nieufnie, po serdecznej wymianie zdań podawali swoje personalia, pochodzenie i wszystko co dotyczyło naszych pytań. Spotykało się jeszcze domy w których okna były zaciemnione, a ludzie nie mogli uwierzyć, że naprawdę wojna minęła.

15 lipca 1945 r. było już tyle dzieci, że można było uruchomić szkołę. Było nas trzy nauczycielki i kierowniczką. Pierwsze prace porządkowe uskuteczniłyśmy dość szybko, do szkoły zaczęły uczęszczać pierwsze uczennice. Różnica wieku między nimi była duża. Jedne jeszcze małe, inne już nastolatki zasiadały w jednej ławce. Po selekcji zaczęłyśmy pracę zajmując tylko partę szkoły, pozostałe dwa piętra pozostały narazie puste. Trochę później zaczęło pracę przedszkole. Ludzi ciągle przybywa. Z aprowizacją kłopoty - to samo z odzieżą i obuwem. Zaczął już pracę Polski Czerwony Krzyż, rozdająca między ludzi trochę bielizny, obuwia, lekarstw tych najpotrzebniejszych, mydła, ale co to znaczyło w porównaniu z potrzebami. Ja noszę ciasne buty kupione przygodnie na targu a w torbie papcie, ale jest dobrze, bo minęła wojna.

Coraz więcej sklepów jakoś rozkłada sytuację, powstają sklepy branżowe, każdy otrzymuje kartki uprawniające do zakupu najpotrzebniejszych towarów, a w pierwszej kolejności żywności. A moje miasto jak inne, - wszędzie gruzy, szkielety wypalonych domów, pełno szkła, od czasu do czasu detonacje.

Jeszcze ciągle pracują saperzy nad rozminowaniem terenu, a Wopisici oczyszczali teren z włóczągów, którzy tu i tam kręcili się przy granicy.

Kolejne lata była mniej lub więcej podobne do siebie. Następuje odgruzowywanie, porządkowanie terenu. Ciągłe napływają nowi ludzie, którzy pragnęli się tu osiedlić.

W 1955 r. po dziesięciu latach naszego tu pobytu zaczyna być ciasno.

Ciekawsze wydarzenia tego okresu to moje osobiste przeżycia, z których wybieram te, które zostawiły ślad w mojej pamięci. Byłam pierwszy raz w życiu w Warszawie. Przed wojną nie znałam Warszawy, tym więcej przeżyłam moje pierwsze spotkanie z stolicą. Gruzów już było mało, Warszawa tętniła życiem.

W 1956 r. córka moja złożyła egzamin dojrzałości. Nie miała jeszcze pełnych 17 lat, mimo tego zdecydowaliśmy, że złoży podanie na wyższą uczelnię. Wprawdzie nie mieliśmy w planie, aby już zaczynała studia, pragnęliśmy tylko, aby poznała jak wygląda taki egzamin, ale skoro zdała i została przyjęta rozpoczęła studia. Kiedyś dawno moim snem o szczęściu były studia medyczne, otrzymała je córka. Trudno było nam wyekwipować ją, oboje z mężem zarabialiśmy jeszcze dość mało. Ambicje jednak zwyciężyły - Moje marzenia zostały przekazane, ale tym razem realnie - córce.

Sytuacja materialna nasza zaczyna się poprawiać. Urodził się nam syn. Nie przeszkadza mi to w realizowaniu moich zamierzeń. Kończąc wyższy Kurs Nauczycielski, zdobywam specjalizację - j. polski - historia. Było to bardzo potrzebne. W miarę postępu zaczęły coś znaczyć większe kwalifikacje. Pracy dla wszystkich ciągle było dużo. Z natury dość ruchliwa, każdy dzień miałam wypełniony po brzegi. W związku z likwidacją analfabetyzmu, zgłosiłam się do pracy w wieczorowej szkole dla dorosłych. Słuchaczami szkoły byli częściowo żołnierze, częściowo cywile, którzy uzupełniali swoje wykształcenie w zakresie szkoły podstawowej. Praca z nimi dawała duże zadowolenie. Młodzi żołnierze z całego kraju, którzy tu w naszym mieście odbywali służbę wojskową, a nie mieli ukończonych 7 klas, uczyli się, aby po wyjściu do cywila z świadec-

ctwem ukończenia szkoły podstawowej móc zdobywać stanowiska pracy umożliwiające im dalszą naukę.

Sytuacja materialna moja nadal poprawiała się. Kupiłam do domu dywan najpierw jeden, potem drugi - choć takie ze sznura, ale barwne i bardzo ładne.

Mieszkanie moje staje się coraz bardziej przytulne i miłe.

Ciągle mam jakieś wewnętrzne nakazy włączania się do pracy społecznej. Zostaję prelegentem w Polskim Czerwonym Krzyżu, który w tym czasie nasila pracę szkoleniową. Poznaję przez to i teren i ludzi.

Do prac sanitarno-oświatowych wykorzystany był okres zimowy. Tematem moich prelekcji były sprawy higieny osobistej i otoczenia. Wyruszałam z służbą zdrowia na tak zwane białe niedziele. Bywało i śnieg duży i trudny dojazd, ale to dla nas nie stanowiło przeszkód.

W tym czasie nawiązywało się kontakty z miejscową ludnością. Oni ogromnie cenili sobie takie odwiedziny a my byliśmy szczerze zadowoleni, że możemy coś zrobić dla naszego otoczenia. Nie jednemu pomogliśmy w pokonywaniu trudności, co pozornie nie trudne, - było - dla ludzi miejscowego pochodzenia problemem.

Ludzie miejscowi o takich nazwiskach jak G [redacted], Z [redacted], S [redacted], poprawnie władali polskim językiem czy śląską gwara. Wszyscy jednakowo wspominali szykany i represje jakich doznawali pod niemiecką okupacją. Najgorzej to było z ukrywaniem się używania ojczystego języka.

Podskuchiwali pod oknami młodzi Niemcy z organizacji Hitlerjugend.

Podskyszane rozmowy w polskim języku przekazywali swoim władzom, które konsekwentnie karali odważnych opozycjonistów. Gromadnie też przy takich okazjach zwiędzaliśmy cmentarze, gdzie chyba najbardziej można było czytać pochodzenie a nawet historię naszych rodaków i ziemi na której żyli. Nagrobki pisane w języku polskim, czasem jakaś wzmianka z życia zmarłych, często fragmenty polskiej modlitwy.

Aktywną działalność zaczęły przejawiać i inne organizacje społeczne, jak Liga Kobiet, Liga przyjaciół żołnierza. Przyjmuję kilkadziesiąt godzinną pracę w tygodniu w poradni pedagogicznej dla rodziców, a choć

to pozornie kilkanaście lat temu, - nie dawno, jakie zmiany zaistniały do dzisiaj. Już kilka lat istnieje taka poradnia dla dzieci i ich rodziców z lekarzem, magistrami nauk pedagogicznych czy psychologiem w naszym mieście.

Wracam do mojej pracy zawodowej w szkole.

Już teraz szkoła zajmuje 3 piętra, z szkoły żeńskiej przetrwała się w koedukacyjną. Kocham swoją szkołę i młodzież uczęszczającą do niej. Z młodzieżą biorę udział w różnych konkursach, zdobywamy większe lub mniejsze sukcesy. Żywo dyskutujemy nad każdą porażką, szukamy przyczyn i metod jak ulepszyć pracę, aby osiągnąć lepsze wyniki. Najwięcej czasu poświęcamy konkursom czytelniczym i dyskusji nad książką. W międzyczasie otrzymuję propozycję objęcia stanowiska kier. szkoły - następnie podinsp. szkolnego. To mi nie odpowiada. Nie lubię administracji. Mnie cieszy praca z młodzieżą, mam pełne zadowolenie, ciągle czuję się młoda.

Syn mój wyrasta z wieku przedszkolnego, córka nadal studiuje w Szczecinie. Zaczynam mieć możliwości zwiedzania mojego kraju. Zgłaszam się na kursy kier. kolonii letnich, a następnie podejmuję pracę na koloniach letnich. Dzięki tej pracy poznaję dobrze Warszawę, Szczecin, Gdańsk, Gdynię i wiele innych miejscowości, których zupełnie nie znałam. Moja wiedza o kraju wzbogaciła się o tyle, że już nie werbalnie z obrazka rozmawiałam z młodzieżą o naszej ojczyźnie. Nawiasem mówiąc byłoby mi ciężko, bo współczesna młodzież to nie ta dawna, co bezkrytycznie odbierała wiedzę, nasze dzieci też podróżują i często uzupełniają wypowiedzi nauczyciela swoimi spostrzeżeniami.

A w Prudniku jest nas już 15.000. Aż dziw kiedy się to stało. Rozwija się przemysł bawełniany, sprawnie działa Dom Kultury, są już dwa kina. Gruzy prawie znikły.

Ja jednakowoż jak na początku zajmuję dwu-pokojowe mieszkanie z kuchnią w starym budownictwie. Gości prawie nie przyjmujemy - nie ma na to czasu. Jest nam tu dobrze choć brak komfortu. Mamy dużo słońca, jest ciepło to już bardzo dużo. Jako początkujący nauczyciel

mieszkałam w jednej izbie, prawie razem z gospodarzami mieszkania, dom pod słomą z naftową lampą a na środku izby na haku umocowanym na suficie wiecznie skrzypiały zrobiona z półkoszyka kołobka z niemowlęciami.

Rano gospodyni karmiła dziecko, a następnie wsadzała mu do ust szmatkę z cukrem, popchała mocno koszyk, który ruszał się niby kołyska a sama z rodziną szła w pole. Wokół ust dziecka i szkodkiej szmatki gromadziły się muchy. Opowiadałam o tym moim dzieciom i dzieciom w szkole. Moje dzieci nie mogą w to uwierzyć. Dlatego właśnie cenię sobie moje obecne mieszkanie. Jest już 1962 rok. Mam 48 lat - córka kończy studia, syn zaczyna szkołę podstawową. Mąż pracuje nadal w księgowości a ja uczę w mojej szkole 13 lat. Tyleż samo jesteśmy w Prudniku. Z latami do głowy cisną się wspomnienia, nasuwają refleksje. Coraz częściej porównuję moje dzieciństwo z dzieciństwem moich dzieci. Świat i w nim nasze życie zmieniło się bardzo. Urodzona i wychowana we Iwowie tam kończyłam szkołę. Z żalem i pewną odrazą przypominam sobie moje dziecięce ubrania, moje zabawki z patyków i szmat.

Radio detektor z słuchawkami, które ojciec przyniósł do domu, a które było przedmiotem podziwu wszystkich mieszkańców kamienicy.

Moje dzieci tego nie potrafię sobie wyobrazić. Ojciec mój był tramwajarzem, działaczem Zw. Zaw. Tramwajarzy, prowadził bibliotekę i dzięki miałam łatwy dostęp do książek, które były moją najmiłą rozrywką i jedyną.

Nie potrafię pisać bez porównań, które cisną mi się pod pióro. Znowu wracam myślami do mojej młodości i początkowej pracy. Dwuletnia bezpłatna praktyka potem kontrakt - i ta troska o młodego nauczyciela dzisiaj. Ażeby to porównać i uwierzyć trzeba było samemu przeżyć.

Na moment znowu wracam do tego domu, gdzie żyłam jako młody nauczyciel i znowu odtwarzam sobie w umyśle ten wieczny skrzyp półkoszyka uwieszonego u sufitu i z tym kojarzy się obejście domu gdzie mieszkałam. Niedaleko domu z spróchniałych desek był zbity ustep, którego ściany były ze słomy. Ustep ten przykrywałam starymi częściami

garderoby w miejscach gdzie krowa szoną zjadła. Dzisiaj jako członek prezydium Zw. Naucz. Polskiego oglądam dom i mieszkanie do którego na się wprowadzić nauczyciel. Musi być wygodny, przyjemny, czysty i w miarę możliwości z wygodami.

W Prudniku mamy już nowe boisko sportowe, trenerów na krytej pływalni, kończy się budować basen odkryty. Od czasu do czasu przyjeżdża tu teatr, czasem zespoły artystyczne W.P. Czynne jest małe muzeum, tradycje już ma szkoła muzyczna. Na terenie miasta mamy już 4 przedszkola, żłobek miejski, kilka fabryk, kilka zakładów rzemieślniczych, pracują 4 szkoły podstawowe w tym jedna tysiąclatka. Życie w mieście coraz bardziej się ożywia.

Rok 1963 jest rokiem szczególnie ważnym dla mnie i mojej rodziny. Otrzymuję propozycję pracy w nowo otwartej szkole specjalnej. Interesuje mnie ta propozycja i praca w zupełnie nowych warunkach. Po 19 latach z żalem opuszczam moją szkołę i przyjuję pracę w szkole specjalnej. Córka moja w tym roku kończy akademię medyczną i otrzymuje dyplom lekarza. Staż pracy będzie odbywać w woj. szczecińskim.

Zaczęłam pracę w nowej szkole. Jest nas 4 osoby personelu pedagogicznego i początkowo 4 klasy. W szkole 80 dzieci, tych najbiedniejszych, bo niedorozwiniętych. Spotkanie z tymi dziećmi w licznej grupie wywołało szokujące wrażenie. Prosiłam o pierwszą klasę. Było w niej ponad 20 dzieci. Dzieci różne głębiej i lżej upośledzone, w tym 4 kaleki. Klasa bardzo ruchliwa, hałaśliwa. Początkowo trudno mi było utrzymać spokój. Leciąży ordynarne wyzwiska, rzucanie ołówkiem, gunką. Nawet bardzo przymilne upominanie nie odnosiło skutku. Byłam załamana. Nie wyobrażałam sobie tej pracy na dalszą metę. Takie scenki jak plucie, bicie były na porządku dziennym. To też do półrocza byłam kompletnie wyczerpana. Moi koledzy, którzy wybrali klasy starsze mieli nieco łatwiejsze życie. Wtedy było mi wycofywać się, a praca dalsza wyglądała coraz trudniej. Były dzieci, które tendencyjnie grzebały ołówkiem w nosie i uspakajały się gdy ujrzały krew, inne w krótkim okresie czasu zanieczyszczały

powietrze, a czubiły się o byle co dużo razy w czasie zajęć. Jedne nie mogły powtórzyć wyrazu jeszcze inne uciekały z ławki do okna - jedno wielkie nieporozumienie było dość długo zanim wgłębiłam się w psychikę każdego dziecka indywidualnie.

Powzięłam decyzję natychmiastowego uzupełnienia kwalifikacji. Zapadła na domowej naradzie uchwała, że zacznę studia. Stało się to przedmiotem rozrywki mojego otoczenia. Mam już przecież 49 lat. Zostałam przyjęta na zaoczne studia Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej w Warszawie - tam oczymałam wytyczne do pracy.

Nad moją edukacją pilnie pracują moje starsze dzieci. Zięć bez oporów powtarzał ze mną psychopatologię, naukę o człowieku, córka filozofię, a sama pracuję nad metodyką do szkół specjalnych, pedagogiką. Wzorem dla mnie staje się twórczość pani G [REDACTED].

Praca moja nabiera coraz wyższych rumieńców. Z dziećmi szkolnymi żywan się. Jest coraz ciekawiej i łatwiej. Studia zaoczne trwają dwa lata, kończę je z wynikiem pozytywnym i otrzymuję dyplom.

Cieszę się i ja i moja rodzina. Szczególnie dumne są dzieci. Syn dopinguje mnie, aby zdobywać tytuł magistra, ale to nierealne - lata posuwają się naprzód. Równocześnie z pracą w szkole Specjalnej podejmuję kilka godzin pracy w Zasadniczej Szkole Zawodowej. Zwiększa się mój zarobek o 900 zł. Uchwalamy zakup telewizora. W domu duże przeżycie. Tradycyjnie jak u wszystkich pierwszy tydzień spędzamy wszyscy przy telewizorze. Ta forma rozrywki bardzo nam odpowiada zwłaszcza, że coraz starsi wiekiem chętnie spędzamy wieczory w domu. Mąż mój, który fanatycznie grał w szachy coraz częściej poświęca nam wieczory w domu. Kino za wyjątkiem dobrych filmów przestaje być atrakcją. Moja praca w szkole specjalnej układa się coraz lepiej. Poznałam dobrze moich wychowanków i ich rodziny. Zachowanie ich przestało dla mnie być zagadką. Dopracowałam się ciekawych form pracy no i zaczęłam się cieszyć osiągnięciami. W szkole zawodowej pracowałam tylko 4 lata, tak długo jak szkoła nie otrzymała nauczyciela etatowego. Tu miałam okazję zetknąć się z młodzieżą tą mniej zdolną, rekrutującą się z rodzin wieloletnich, często pijackich. Przeżywałam razem z

nimi ich sukcesy, starałam się ukierunkować ich dalsze życie. Często prowadziliśmy rozmowy na tematy związane z ich przyszłym życiem, pracą. Żał mi ich było bardzo, gdy w rozmowach opowiadali o traktowaniu ich nieodpowiednim przez majstrów. O wciągnięciu ich do życia z tej złej strony przez czeladników, szczególnie na budowach. Często przeżywałam brak godzin wychowawczych w tych szkołach. Dla młodzieży, która jeszcze często z mojego środowiska wносиła złe nawyki były one bardzo potrzebne.

W szkole specjalnej praca jest coraz bardziej przyjemna. Przeżamane pierwsze lody, dzieci zaczynają czytać, budują zdania. Już coraz wyraźniej widać efekty własnej pracy.

W Prudniku jest nas już 20 000, miasto a w nim życie przeobraża się na oczach. Już Rynek odbudowany nowocześnie z komfortem. Place niezabudowane załeniły się w osiedla mieszkaniowe. Sprawnie działa Spółdzielnia mieszkaniowa "Nowy Dom". Trudno uwierzyć, że ciągle się coś ciekawego dzieje. Na drodze, gdzie było pusto powstają fundamenty, na których rosną budowle przeznaczone na pralnie, zakłady usługowe itp.

Wszędzie wroć praca. Już teraz planowo i systematycznie naprawia się drogi. Trwa remont starych budynków mieszkalnych, poprawiają się warunki sanitarne.

W Prudniku pogłębia się niedobór wody - Coraz więcej ludzi, zwiększa się zapotrzebowanie, - wody nie wystarcza. Powstaje coraz częściej trudność w jej zdobywaniu. Kiedy ujawnia się woda ludzie ją magazynują. Ten co mieszka wyżej musi czekać aż ci z dołu napełnią zbiorniki. Często z tego tytułu bywają załania sufitów sąsiadom, bo ci z góry, często zostawiają odkręcone krany, zapominają a na konsekwencje nie trzeba długo czekać. Stąd i częste niesnaski w domach. W rodzinach wzajemnie obwiniają się o odkręcenie kurka wodociągowego. Efekty takich nieporozumień najczęściej trafiają dzieci. No bo ktoby zapomniał, napewno K [] czy M [], dorośli wybielają swoje konto, aby uniknąć docin- ków. Ostatnio takie wydarzenie miało miejsce u moich znajomych, których

mieszkanie jest ustawione nad biurem PTK. Kilkakrotnie zalany sufit wymagał już remontu, co pociągało za sobą koszty, a wszyscy w domu byli niewinni, oczywiście i tu na szczęście znalazło się dziecko, które nauczone poprzednimi wydarzeniami starannie unikało kontaktu z kurkiem wodociągowym.

Zastanawiam się czy zamykanie wody nie stanowi jej marnotrawstwa. Często niewykorzystana woda w zbiornikach wędruje do zlewu.

Na dachach domów coraz więcej anten telewizyjnych. Jakaś ciekawa audycja i wszyscy siedzą przy telewizorach. Czy te anteny dodają uroku miastu? Napewno nie, ale świadczą o polepszających się warunkach materialnych naszego społeczeństwa.

Nasze życie zdecydowanie się zmienia. Głowa jest pełna myśli, porównań. Często umysł nie jest w stanie skojarzyć sobie współczesnych przemian z tym co było dawniej.

Po cichu zazdroszczę młodym. Wstydzą się za tych co opowiadają bzdury z przed wojny. Siedmiomilowymi butami skoczył czas ten od 1945 do dnia dzisiejszego. Chyba wszyscy doceniają zmiany jakie zaszły w naszym życiu.

Dzisiaj Święto Ludowe 17 maja. W naszym mieście uroczystości kościelne, komunia św. Dzieci ubrane jak z baśni. A do domów, które obchodzą to święto suną transportem piwa, torty. Czy ktoś dawniej z tych przeciętnych ludzi wyobrażał to sobie. Ciśnie mi się pod pióro wspomnienie jak to kiedyś matka dzieliła chleb do śniadania, kreśliła na nim znak krzyża, całowała go, i dziś bardzo często chleb z masłem wala się przed szkołą.

W rozmowie z różnymi ludźmi często wspólnie wspominamy te czasy dawne, ale nie przez różowe okulary. Społeczeństwo czuje z doświadczenia, że jest inaczej, lepiej jak było kiedyś. Zakłady pracy organizują wycieczki, ludzie poznają nieznanne kiedyś miasta, wsie, osiedla. Widać tyle nowego, tyle ciekawego. Nikogo dzisiaj nie dziwi, że gospodarz wiezie na targ drób czy warzywa w pięknym aucie. Powoli zrywamy się

i przywykamy.

Tu wtrącam fragment mojej rozmowy z ojcem wieloletniej rodziny. Narzekał, że mu ciężko - napewno. Nie jest łatwo wyżywić i odziać 11 osobową rodzinę, gdy brak zapakła do pracy, a duża ochota do piwa. Ale i tu znalazło się jakieś rozwiązanie. Opieka społeczna przydzieliła dzieciom dużą zapomogę. Miasto oddało duże i nowoczesne mieszkanie. Dziś w tej rodzinie jest telewizor i gdyby nie ciężotki taty do piwa byłoby całkiem znośnie.

Napewno nie wszyscy potrafią rozwiązać skomplikowane problemy, ale też i oni sami je sobie utrudniają. Jedni przez lenistwo inni przez pijaństwo. Na tym odcinku u nas też się coś dzieje. Istnieje Sąd Opiekunicy, istnieje poradnia przeciwalkoholowa, gdzie nałogowcy otrzymują skierowania na leczenie. Rodziny tych co się leczą otrzymują wysokie zapomogi. Przecież kiedyś nikogo te sprawy nie interesowały. Ile jeszcze byłoby lepiej i przyjemniej gdyby się dało szybciej pohnąć kulturę naprzód. Wprawdzie nie ma już w naszym mieście ustępów przekształconych na spizarki, które napływowy element organizował przez wyrzucanie muszli klozetowych i zatykanie otworów ściękowych, ani nikt już na piętrze nie hoduje świnki czy kozy jak to było w 45 i 46 roku, ale jeszcze ciągle brak czystości, brak poszanowania mienia społecznego. Tyle pięknych urządzeń niszczy nasza młodzież nawet nie złośliwie, po prostu dla zabawy.

Rok 1970. Obchodzimy 25 lecie powrotu naszych ziem do Macierzy. Wszyscy mieszkańcy Prudnika ten dzień przeżywają i długo pozostanie w naszej pamięci. Miasto ustrojone jak baletnica. Wszędzie się coś dzieje. Weterani i pionierzy do których i moja rodzina się zalicza pęcznieją z dumy, bo to my kładliśmy fundament pod współczesne życie. Może ono jeszcze niedoskonałe, napewno jeszcze bardzo dużo pozostało do zrobienia, ale jak łatwiejsze obecnie w porównaniu z 1945 rokiem. W zakładach pracy, w szkołach organizuje się akademie, są dyplomy, odznaczenia a chociaż nagród nie ma nikt o nich w tym dniu nie wspomina. Piękną uroczystość zorganizowało prez. MRN w Prudniku.

Spotkali się na niej zaproszeni ci, którzy na tej ziemi stawiali pierwsze kroki. Są wśród nich tacy, którzy odwożeni do innej pracy wyjechali z Prudnika. Spojrzeliśmy na siebie często z niedowierzaniem. Czas wyrzył ślady na naszych twarzach. Na głowach siwizna - tylko młody duch pozostał. Warto było przeżyć takie spotkanie.

Związek Naucz. Polskiego dla swych członków też zorganizował takie spotkanie. Jest nas tu jeszcze około 30 osób.

Na spotkaniu, które miało przebieg tradycyjny z referatem młodzi nasi nauczyciele zorganizowali weteranom miłą niespodziankę w postaci koncertu, występów recytatorskich. Wszyscy weterani zostali obdarowani pamiątkowymi, wartościowymi książkami z dedykacją.

Dużo, dużo okazji do wzruszeń.

Ukończyłam już 55 lat. Rozpoczynam starania o emeryturę. To bardzo trudny okres w moim życiu. Zanim zapada decyzja zamie się. Każdego dnia odkładam ostateczne rozstanie się z szkołą. Dniem i nocą przesładuje mnie widmo czkowieka niepotrzebnego. Przeżywa to też mój mąż. Boi się, że będzie nam trudno. Zmniejszą się nasze dochody, a syn zaczyna średnią szkołę. Aż do przesady liczę jak będzie wyglądać moja emerytura.

Jeżeli każdy tak właśnie przeżywa ten okres, powinniśmy sobie wzajemnie współczuć.

Tymczasem jest lepiej jak było. Do emerytury mogę dopracować jeszcze 1000 zł. Otrzymałam godziny w szkole i w konsekwencji czuję się potrzebna i materialnie też nie mogę narzekać. A teraz mam dużo czasu. Mogę zająć się bardziej domem, mam czas na telewizor, jednym słowem jest pięknie.

Otrzymuję propozycję zajęcia się nauczycielskim klubem. To coś co mi odpowiada. Cenię sobie pracę społeczną, która daje tyle zadowolenia. Mam duży kontakt z ludźmi, mogę organizować imprezy, spotkania itp. W związku z moją pracą znowu potrzebne przeszkolenie.

2 tygodnie na kursie w Gdyni.

Trochę było strachu jak się dostać do pociągu a potem wygodnie jechać. Ale udało się. Dnia 2.VIII 70 r. podstawiono dodatkowy pociąg z Gliwic o godz. wpół do szóstej rano i samo wsiadanie jak i jazda były udane.

Wygodnie i w miłym towarzystwie zajechałam z synem do Gdyni. Pociąg pośpieszny był opóźniony 2 godz., ale darowaliśmy mu opóźnienie. Kwatera gdzie miał się odbyć kurs to szkoła nr 18, ładnie położona, w centrum miasta wyglądała nowoczesnie. Do budynku wprowadził nas kierownik kursu, wskazał sypialnię i odszedł. Na sali 10 łóżek. Jestem pierwsza więc mam prawo wyboru. Urządzałam się w kącie przy tablicy i oknie. Doskonały punkt obserwacyjny a równocześnie najwygodniejsze łóżko. Tymczasem zaczynają wchodzić następne kursantki. Zdawkowe powitanie i pozornie bez zainteresowania obserwujemy się wzajemnie. Tuż obok mego łóżka zajmuje miejsce 20 letnia zgrabna i śliczna dziewczyna. Z nią pierwszą zawarłam przyjaźń. Rozmowa nasza zaczęła się od jej kłopotu. Chciała kupić narzeczonemu w upominku najpiękniejsze spinki z oczkiem, a przeznaczycie na ten cel 300 zł. Zadeklarowałam się, że będziemy szukać i potem już normalnie skąd przyjechała itd. Obok niej zajęła łóżko wysoka na 1m35cm młoda dziewczyna, która potem otrzymała imię Cygan i tak kolejno każda z uczestniczek inna, miła, udana. Sala tworzyła w sumie zgrany zespół. Cygan miała krótkie i wąskie łóżko i ona właśnie stwarzała na sali humorystyczne sytuacje. Za jeden dzień wspólnego pobytu tworzyliśmy niemal rodzinę. Jeden wspólny kłopot nas jednoczył, to sepsuta kłanka u drzwi, wymagająca wkładki papieru, aby można było je przymknąć. Spotrzebowałyśmy na domknięcie drzwi 10 egzemplarzy gazet i dodatkowych papierów z opakowań. Stwarzało to nieprzećiętny ubaw zwłaszcza wtedy, gdy ktoś chciał się przebrać a nasza gazetowa kłanka otwierała gościnnie drzwi. Mężczyźni mieli sypialnie o piętro wyżej, i często przechodząc mieli okazję

zajrzeć do naszego otwartego pokoju. Chciałyśmy same klankę naprawić, ale brakowało narzędzi.

Mniej udane były nasze umywalki. 3 były do dyspozycji 15 osób, wyłącznie zimna woda, ale ten mankament miłe wspominałam, bo sam kurs był fantastyczny. Po zajęciach, które trwały po 5 i 6 godzin dziennie miałyśmy dużo czasu na rozrywki, wypoczynek no i pogawędki. Wieczorami już parami wychodziłyśmy na bulwary lub nad morze. Nastrojowe i piękne to były wieczory. Pogoda dopisywała chciało się marzyć, rozmyślać i wymieniać myśli. W czasie tych przechadzek poznawaliśmy bliżej się. Wiele tragedii w pozornie wesołych kobietach kryło życie. Ratwo było wyzalić się, czy szukać porady u bardziej doświadczonych. Jedną z koleżanek była matką dziecka, które przyszło na świat z dużą i niewyleczalną wadą wzroku. Inna dopiero była po rozwodzie - takie i podobne zwierzenia snachodziły ujście nad czarną taflą wody i jaskrawymi się neonami. Ale już po powrocie do pokoju ktoś powiedział jakiś kawał, ktoś znowu jakieś wydarzenie z dnia i smutki mijają, cała sypialnia zgodnie drżała od śmiechu. Było nam dobrze. Wyżywienie i wszystko inne też udane.

Spotkanie z autorem ziemi Kaszubskiej ob. P [REDACTED].

Powitał nas jakimś pozornie dziwnym językiem. Nie wiedzieliśmy czego od nas chce. Powtórzył to samo powoli i każdemu wyjaśniała twarz. Przecież nie trudne do zrozumienia, ale bardzo trudne wtedy, gdy się mówi szybko. Zaczęła się pogadanka w której ob. P [REDACTED] wiele mówił o kaszubach o ich zwyczajach i głębokim ukochaniu Ojczyzny. Przedstawił nam krótko dzieje tego regionu, mało znanego nam Ślązkom. Ich twarda natura i unikowanie kraju zwyciężyły w czasie silnych ataków germanizacji. Opowiadał o działaczach ziemi Kaszubskiej, o tragediach jakie przeżywali w okresie okupacji. Po tych wzmiankach natury historycznej posypały się jak z rogu obfitości, wiersze, frazki i humoreski Kaszubskie. Ob. P [REDACTED] drukuje swoje utwory w dzien-

nikach wychodzących w Gdańsku.

Nauczył się posługiwać gwara kaszubską i poznał życie tego rejonu Polski skierowany na te ziemie jako nauczyciel. Obecnie jest tak związany z ziemią kaszubską, że tylko tam czuje się najlepiej.

W swojej roli prelegenta potrafi słuchacza przekonać, że ten język jest bardzo piękny, że jest pierwowzorem naszej mowy literackiej, a jego brzmienie ma dźwięk czułego instrumentu.

Prelekcję zakończył dość długim i serdecznym pożegnaniem w gwarze kaszubskiej. Mówił powoli, rozumieliśmy wszystko. To spotkanie należy do bardzo udanych. Jestem mu wdzięczna i cieszę się, że mogłam poznać ciekawego prelegenta i wzbogacić swoje wiadomości.

Następnego dnia od rana niewyraźna pogoda, która jednak ustabilizowała się pomyślnie. Mamy ochotę iść na plażę. Krótka rozmowa z kier. kurou no i załatwienie. Zajęcia zostały odłożone na godziny popołudniowe, więc wyruszamy. Na plażę od naszego budynku jest blisko. Przechodzimy nieznanymi ulicami. Tyle pięknych domów. Stwierdzamy, że Gdynia ma piękne położenie. Wybrzeże i równocześnie tyle wspaniałości, bardzo urozmaicony krajobraz. Plaża w tym dniu pełna była ludzi. Dla nas, niektórych jak ja z małego miasta przybyłych wszędzie pełno atrakcji. Jak zwyczajnie każdą kobietę interesowały tu stroje, wyposażenie plaży. Trzeba przyznać, że gustownie ubrane młode osoby doskonale się tu prezentowały. Gorzej z urządzeniem plaży, mało koszyków, brak dobrze wyposażonej wypożyczalni z sprzętem sportowym, przydałyby się też po kąpielu zawsze ciepłe prysznice. Morze w miejscach dozwolonych zawsze trochę zanieczyszczone i chciałoby się na miejscu skorzystać z kąpie-
li higienicznej.

Popołudniowe spotkanie z przedstawicielami marynarki wojennej uświetniło ten miły dzień.

Oficerowie, którzy przybyli do nas opowiadali bardzo ciekawie o swojej pracy na morzu. Pracy trudnej i bardzo odpowiedzialnej.

Prelekcje były urozmaicone przedroczami. Dzień kończył się wieczorkiem zorganizowanym przez zespół artystyczny marynarki wojennej, który wykonał dla nas szereg utworów muzycznych, a potem piosenek marynarskich.

Spotkanie z panią M. P.

Bardzo żywy kontakt z pisarką został nawiązany natychmiast. Trochę własnych wspomnień tych z wojny i tych już po wojnie. Krótka informacja o początkach własnej twórczości no i bardzo ciekawe opowiadanie jak zrodziła się jej powieść pt. "Lato nagich dziewcząt". Mimo, że wielu z nas powieść czytało, skuchaliśmy jej z zapartym tchem. Mówiła pogodnie, niemal malowała tło na jakim zrodziła się powieść. Nikt ani się ruszył. Celowo nakreśliła sylwetkę bohatera opowiadania i jego cechy bardzo dokładnie. Następnie wprowadziła nas w tok akcji. Jak barwnie potrafiła przedstawić nam jego psa, który obok swego pana stał się atrakcją tej powieści. No i zabawne zakończenie dla czytelnika, któremu autorka obiecała, że zamiast zaplanowanej rzeźby, która miała być oddana dla Sopotu przez rzeźbiarza, bohatera tej powieści, miał powstać pomnik psa. Oczywiście czytelnicy zaczęli szukać pomnika, a nawet dopominali się u różnych władz wskazania gdzie pomnik został ustawiony. W konsekwencji ktoś inny skomponował psa z różą w pysku, ale tak nowoczesnie, że nikt, gdyby nie róża nie potrafiłby odgadnąć gdzie głowa a gdzie ogon, no ale ta rzeźba, wyprodukowana z nietrwałego materiału uległa w czasie zimy zniszczeniu i w konsekwencji Sopot znowu czeka na artystę, który swoją pracą upiększy ten wspaniały ośrodek wypoczynkowy nad morzem. Po prelekcji autografy no i szukanie dawno wyprzedane książki.

Czwarty dzień kursu zainaugurowało spotkanie z przedstawicielem K.C. wydziału oświaty, który przedstawił nam zmiany jakie zaszły w szkolnictwie w ostatnich czasach i projekty na najbliższą przyszłość. Może najbardziej zostały tu ujęte zmiany jakie zaszły w liceach ogólnokształcących na bazie 8 klasowej szkoły podstawowej. Z ważniejszych

szczegółowo została omówiona sprawa ukończenia liceum i świadectwo ukończenia szkoły średniej, oraz matura.

Przedmiot wychowanie obywatelskie wzrósł do rangi propedeutyki nauk politycznych.

Dużo czasu poświęcił prelegent modernizacji kształcenia nauczycieli, potem omówił najnowsze postanowienia Rządu dotyczące przedszkoli, zmianie opłat przedszkola.

W dyskusji jaka się wywiązała poruszono szereg problemów związanych z życiem, sytuację materialną nauczycieli itp.

Prelekcja bardzo ciekawie opracowana i przekazana zostawiła nam duże pole do dyskusji na tematy jak kierować obecnie młodzież, aby nie stwarzać w kraju nadmiaru jednych specjalistów a braków w innych gałęziach gospodarki krajowej i perspektywy dla nauczycieli na najbliższą przyszłość.

W godzinach popołudniowych wieczorek towarzyski urozmaicony występami nauczycieli słuchaczy kursu.

Wycieczka na Hel.

Zawiezie nas okręt wojenny "Bryza". Uczestnicy bardzo głęboko wzruszeni. Tyle uprzejmości i świadczeń dla nas od Dowództwa Marynarki Wojennej. Ruszamy w rejs rano przy pięknej słonecznej pogodzie.

Okręt idzie powoli, jakby chciał nam przedłużyć pobyt na morzu i pozwolić nam do syta cieszyć się jego widokiem. Korzystamy z słońca - opala nas morski wiatr, szumi woda i upaja widok lecących za okrętem mew.

Jest cicho. Przejazdka trwa około 45 minut i jesteśmy na Helu.

Małe domki i duże domy toną w zieleni. Spotykamy po drodze grupy wycieczkowiczów, którzy jak i my przyjechali tu trochę dla rozrywki, trochę w celach krajoznawczych.

Prowadzi nas oficer marynarki uprzejmy, usłużny i bardzo cierpliwy.

Mamy w planie, przed zwiedzeniem plaży poznać muzeum Marynarki Wojennej. Jesteśmy u celu. Ładnie urządzone muzeum, ciekawe eksponaty, oraz

bardzo udany przewodnik. Wszystko co tam widzieliśmy i usłyszeliśmy było bardzo interesujące. Zwiedzanie trwało godzinę i po skończonym oglądaniu muzeum razem wyruszamy na plażę. Jest upalny dzień, słońce prawie dokucza. Dla ochłody młodzi skorzystali z wspaniałej kąpieli, starsi zatrzymali się przed stoiskiem z lodami. Mamy mało czasu, bo Bryza musi wrócić na godz. 16 do Gdyni. Głębokie westchnienie żalu. Szkoda słońca plaży i za chwilę wszystko się kończy. Wracamy zmęczeni a czeka nas wieczorek w Klubie oficerskim z występami estradowymi, muzyką i wśród bardzo serdecznych marynarzy. Nasuwa się pytanie - dlaczego wskazówki zegara muszą się posuwać i nie można przedłużyć czasu.

Wycieczka do stoczni w Gdańsku.

Tym razem inne głębokie przeżycie. Stocznia w Gdańsku to gigant, niemal miasto w mieście. Dzielimy się na dwie grupy i wyruszamy w wyznaczonym kierunku. To co oglądamy to przechodzi moją wyobraźnię. Maszyny do krajania grubego żelaza tną metal potrzebny do konstrukcji statku, olbrzymie dźwigi przenoszą gotowe elementy na inne stoisko, gdzie element ulega dalszej obróbce, otrzymuje pożądany kształt i wtedy zostaje przeniesiony na pochylnię. Tu jest ustawiany na rusztowanie, gdzie następuje montaż. Przy tej pracy człowiek wygląda jak mrówka. Proporcje są tak jaskrawe i olbrzymie, że ciężko pojąć jak takie małe, ludzkie ręce poruszają mechanizmy maszyn i są zdolne do takich czynów. Maszyny olbrzymie stoją majestatycznie i dopiero człowiek sprawia, że pracują i pomagają w tworzeniu rzeczy tak pożytecznych i pięknych. Wokół nas stoją statki. To pacjenci oczekujący na swoją kolej do remontu, lub renowacji. Przewodnik operuje cyframi, które mają umysły. Na odmalowanie jednego statku - kilkadziesiąt tys. kg lakieru. Wymiana części zniszczonych olbrzymie sumy. Widzimy statki różnych bander, które tu u nas przechodzą renowację. Pada szereg pytań. Chcielibyśmy wiedzieć coś o pracy statku. Ale potrzeba by ogromnie dużo czasu na odpowiedzi. Reszta wiadomości jest w podręcznikach,

lekturze dokań radzili zainteresowanym zwrócić się przewodnicy. Bardzo zmęczeni wracaliśmy do Gdyni. Wydaje się niemal wszystkim, że jesteśmy o wiele mądrzejści po tym zwiedzeniu stoczni. Inaczej patrzemy na statki.

Spektakl w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku.

Sztuka "Ulises"

Właściwie to nie jestem przygotowana co będziemy oglądać. Książki nie czytałam, podobno nikt nie potrafił przeczytać jej w całości. Jedni mówią, że szkoda czasu, lepiej na dobry film. Ja się zdecydowałam i już jestem w teatrze. Sam gmach teatru piękny, dobrze utrzymany, publiczności po brzegi, pełno. Z zapartym tohem oglądam 1 akt. Na sali grobowa cisza. Nikt nie porusza się. Widownia jakby zamarła. Potem akt drugi i trzeci. Po zakończeniu publiczność poruszona. Dyskusja z gestykulacją rąk coraz żywsza. Zaczęła się już w holu, a potem przedkładała się w kolejce elektrycznej wiozącej nas do Gdyni i kończyła już w pokojach, gdzie wzięliśmy po przedstawieniu. Nie było końca dyskusji. Kier. kursu na prośbę słuchaczy zaprosiło do nas kier. artystycznego Teatru Wybrzeże. Jego widok wywołał burzę w szklance wody. Wcale nie parlamentarnie padały pytania, uwagi. Jedne pozytywne inne wprost obraźliwe. Kierownik cierpliwie pozwolił na wykadowanie atmosfery. Jego odpowiedź brzmiała nieoczekiwanie spokojnie. Sztuka jest po to aby wyzwalała instynkty. Tłumaczenie tej sztuki jest dowolne. Oglądali ją dorośli ludzie. Każdy mógł tam znaleźć cząstkę siebie. Co myślał autor pisząc Ulisesa trudno wysądować. W sumie przedstawienie bardzo udane. Gra aktorów doskonała, ciekawa i ciekawie dostosowane dla określonych osób kostiumy. Pierwszy raz w życiu widziałam takie widowisko, gdzie obdarte z oszonek ukazało się bezpośrednio widzowi.

Wycieczka na Westerplatte.

Z naręczem świeżych kwiatów jedziemy znowu Bryzę tym razem na Westerplatte. Jestem tam już drugi raz. Zdawało mi się, że nie będę ponownie przeżywać wzruszenia, które miały miejsce za pierwszym tu pobytom. Ale gdzie tam. Już pierwsze kroki na tej ziemi wystarczyły, aby całą nawałą cisnęły się wspomnienia. Smutne aleje, omentarz z grobami poległych przywołują żywe. Pamięć tych co tu zginęli nigdy nie zostanie zatarta. Idziemy cicho w zadumie i kroki nasze kierujemy do pomnika. Przed nami i za nami grupy ludzi. Słychać głosy obcojęzyczne. Ciekawie rozglądają się po parku. Rozmawiają napewno o tragedii tej wojny. Nasi przewodnicy tłumaczą, opowiadają - rozczulają. Prawie każda grupa niesie kwiaty. Składamy je przed pomnikiem milcząc i w myślach wspominając. Znicz, który się tam pali jest symbolem walki i męczeństwa tych, którzy tam utracili życie. To miejsce powinien znać każdy człowiek, aby uświadomić sobie grozę tych dni. Z nami Bryzę przybyli tu wycieczkowicze z ZSRR. Nawiązała się wymiana zdań. Pódróż powrotna to była ciężka droga wspomnień. Imy i goście między sobą wspominali minione dni drugiej wojny. Ten ciężki nastrój usiłowali rozproszyć nasi mili gospodarze. Z głośników na Bryzie popłynęła melodia o morzu, o życiu. To marynarze urządzili nam koncert z płyt. Szczęśliwie rozwiązała przygnębiający nastrój.

Opera Leśna w Sopocie.

"Ja do Ciebie przyjść nie mogę". Od rana były wykłady. Mnie osobiście zainteresowała nauka gier towarzyskich, które osobiście przydadzą mi się w pracy w klubie. Skrzętnie więc notuję wszystko i czekam na fragmenty pokazowe. Ratwe to i zabawne naprawdę udane na relaks w klubie. Myślami jednak czekam wieczora. To będzie coś niepowtarzalnie pięknego.

Nadchodzi ten upragniony moment wyjazdu do Sopotu. Najbardziej pożądane stroje, makijaż, bo przecież jedziemy do opery leśnej. Tymczasem wieczór jest chłodny. Idziemy gromadą, podnieceni i nikt nie czuje chłodu.

Nastrojowo udekorowana groga do opery, kolorowe żarówki, czerń lasu stwarza atmosferę ciepła. Jesteśmy już na miejscu. Bardzo grzeczne bileterki wskazują nam miejsca. Publiczność idzie naważą, ale nie ma korków, każdy dowiada się w którym sektorze jego miejsce. Moja uwaga rozproszona. Raz patrzę na scenę raz na tłumy ludzi. Zastanawia mnie dlaczego niektórzy niosą pełne teczki.? Na rozwiązanie ciekawości nie trzeba było długo czekać. Przedstawienie się dopiero zaczyna a już zimno dokucza. Ten chłód trochę rozprasza uwagę. Uszczelniam moją odzież ale trudno uniknąć chłodu. Tego nie przewidziałam. W konsekwencji skorzystałam o wiele mniej niż sobie obiecywałam. Aby w pełni wnieść się w nastrój i dokładnie przyswoić sobie całość, trzeba być wolnym od różnych innych bodźców, które zniewalają do myślenia o czymś innym. Wydaje mi się, że ten sam montaż w telewizji był lepszy. Ludzie z pełnymi teczkami mieli koce

Zwiedzanie Gdańska.

Zbliża się koniec zajęć w Gdyni. Ostatnie dni, już mniej pracowite przeznaczone na zwiedzanie Gdańska. Oczywiście dni słoneczne zostaną wykorzystane na plażowanie, opalanie itp.

Gdańsk kryje w sobie tyle uroku, że aby go dobrze poznać trzeba by dwu miesięcy a nie dwa dni.

Na starym mieście wśród stylowych kamieniczek trzeba koniecznie więcej czasu. Kiedy to zostało tak pięknie odnowione wiedzą tylko Gdańszczanie, którzy na codzień przyglądali się, a może i brali udział w odbudowie Starego miasta. Dla wycieczkowicza to miła niespodzianka. Ogrom pracy jaka tu została wykonana sowiec się opłacił. Tu przecież koncentruje się cała uwaga zwiedzających. A ile tu zachwyty zwiedzających, którzy bardzo uważnie analizują każdy szczegół.

A ten murant z wieży kościoła na Starym Mieście to przecież żywa historia w tych dźwiękach. Kto zna melodię i słowa nie potrafi ruszyć się z miejsca, a ż unilkną ostatnie dźwięki.

Trzeba podkreślić i porządek w mieście i kolorowe, bogate witryny

sklepów. Wszystko tu wabi oczy, pozwala rozkoszować się pięknem i zniewała wprost pozostać tu dłużej. W Gdańsku zaopatruję się w drobne upominki, ponieważ okres pobytu się kończy, a domownicy czekają na pamiątki, które z sobą przywiozę.

Kupiłam sporo widoków tego miasta i z miejsca wysłałam na Śląsk. Zbierracze cenią sobie tego rodzaju przesyłkę.

Jest coraz chłodniej. Szczególnie wieczory zniewalają do przechadzek, ale posiedzieć gdzieś nad morzem już nie można.

Przyszła kolej na kino, lub wieczory przy telewizorze.

Organizujemy wieczór pożegnalny. Te dwa tygodnie bardzo zbliżyły słuchaczy kursu do siebie. Następuje wymiana adresów, trochę obietnic i zobowiązań.

Wspólna skromna kolacja i opuszczamy gościnne miasto, oraz gospodarzy kursu.

Znowu ta sama obawa jak będzie z podróżką. Było znowu dobrze. Kilkanaście godzin jazdy i znowu jestem na Śląsku. Pisząc te swoje wspomnienia wyliczam te które najbardziej utkwily mi w pamięci, do których będę wracać. Nie znaczy to, że w moim życiu nie było chwil trudnych czy smutnych. Jak każdy człowiek i ja przeżywam różne kłopoty czy niepowodzenia. Ale z natury już jestem pogodna i nie wracam myślami do tych spraw, które chwilowe mogły mi zaszkodzić. Nie znam takich, którzy by nie byli do mnie ustosunkowani, zaznałam wiele serdeczności od ludzi z którymi żyję i pracuję, a to chyba w życiu się liczy.

Jak każda kobieta oprócz pracy zawodowej i społecznej wykonuję wszystkie prace związane z prowadzeniem domu. Tu muszę się pochwalić, że równo ze mną wykonuje je i mój mąż. Nie dźwigam więc tego ciężaru sama. Są one o wiele łatwiejsze i przyjemniejsze mając do dyspozycji różne narzędzia i sprzęty, które ułatwiają pracę. Przy oglądaniu rodzinnych zdjęć wspólczyję moim przodkom, że ich życie było tak skomplikowane i wymagało tyle wysiłku

To już połowa sierpnia minęła.

Mam pełne ręce roboty. Nie tylko poezją człowiek żyje. Uprawiamy działkę, która w tym roku pięknie zarodziła. Są jeszcze czarne porzeczki, zaczynają się śliwki. Warzywa trzeba zbierać, no i tradycyjnie robię przetwory. Gdyby to chciałem czekać. Mając obfity plan przygotowuję każdego dnia słoiki, napełniam je owocami. W nimie to wszystko się przyda. Najgorsze to znoszenie z działki, która jest oddalona od domu dość dużo. Trochę mąż wozi rowerem, jakoś sobie radzimy. Dzieci nasze jeszcze mają wakacje. Syn spędza je na obozie harcerskim, córka wyjechała na Węgry. Życie ludzi młodych obecnie to jedna wielka szansa, z której każdy ma prawo i możliwość skorzystać. Cieszymy się tym bardzo.

Zaczął się wrzesień, najtrudniejsze prace w domu częściowo skończone, inne nie wymagają pośpiechu. Przygotowuję się wraz z aktywem Związku Naucz. Polskiego do zorganizowania zlotu turystycznego nauczycieli w Pokrzywniej. Jest to miejscowość położona 9 km od naszego miasta, miejsce letniskowe w górach. Tam będzie nasz zlot a potem Spartakiada. Donki kampingowe już o tej porze roku puste, więc o noclegi nie będzie trudno. Chętnych do udziału w tej imprezie będzie dużo. Organizacja części towarzyskiej spoczywa w moich rękach. Wszyscy chcemy aby wypadło okazale, pożytecznie i wesoło.

Dni zlotu to 12 i 13 września 1970 r.

Zlot turystyczny i Spartakiada.

Jest słoneczne ale chłodne popołudnie.

Zabieramy instrumenty, sprzęt sportowy i wyruszamy. Ponieważ wszystko załatwiamy we własnym gronie, przygrywać będzie zespół nauczycieli, występy też przygotowali nauczyciele. Za nami już pierwsi goście. Wszystko idzie sprawnie. PTK dało salę. Gości podzieliliśmy na 4 grupy, które stanowiły rodziny. Każda z czterech rodzin otrzymała zlotowe nazwisko. Rodziny siedziały w określonym miejscu. Wybraliśmy w każdej

rodzinie ojca czy matkę, którzy mieli kierować dwudniowym życiem rodziny i imprezę rozpoczęliśmy w rodzinnej rodzinie.

Najpierw aby uczcić 50 rocznicę powstania II Śląskiego słuchaliśmy wspomnień uczestnika tego powstania, potem krótko ale ciekawie oficerowie WOP mówili o swojej trudnej pracy właśnie w Pokrzywnie no i zaczęła się zabawa. Można ją nazwać prawdziwą beczką śmiechu. Zabawa przeciągnęła się do godziny 4 rano. Na program zabawy składały się recytacje, śpiew, muzyka no i cały szereg pokazów w których współzawodniczyły rodziny. Było pakowanie paczki jedną ręką, dmuchanie kolorowych baloników - wygrywa kto pierwszy tak nadmucha aż balonik pęknie, była rzeźba w ziemniaku, picie mleka jak kot, konkurs na satyrę wygłoszoną z pamięci, duszenie gazety, potem zabawa prawda nieprawda i cały szereg podobnych numerów. Sala trzeszczała od śmiechu. Za wystąpienia w imprezie punkty otrzymywały i rodziny zespołowe i osłonkowie. Po skończonych występach zostały rozdane symboliczne nagrody w postaci króla do ciasta /wałka/, szczoteczki itp. no i wybraliśmy króla zabawy. Został nim kolega, który zachwyił całe towarzystwo improwizowaną kłótnią szpaka z żoną i przyjaciółką oczywiście w ptasim wykonaniu.

Król na krześle był wyniesiony na wzniesienie i otrzymał insygnia w postaci miniaturowej trzepaczki.

Król rozpoczął też zabawę taneczną. Było już po 12 w nocy. Do godz. 4 nad ranem uczestnicy tańczyli, potem 5 godz. snu wraz z wspólnym śniadaniem i rozpoczęła się rozgrywki sportowe, biegi, skoki, siatkówka, rzut kulą. Trwały one do godz. 15. Wspólny obiad zakończył tę udaną imprezę i z śalem zegnaliśmy Pokrzywnę.

Plany na następne dni tego roku są też atrakcyjne oby się udały.